

TADEUSZ KONWICKI



WNIERBOWSKI STAPLENIĘ

Tadeusz Konwicki
WNIEBOWSTĄPIENIE

Wydawnictwo Estymator
Warszawa 2023

ISBN: 978-83-67562-50-8

Copyright © for the text by Maria Konwicka (2022)

Copyright © for this edition by Estymator Jacek Chołoniewski (2022)

www.estymator.net.pl

Publikacja elektroniczna na podstawie edycji wydawnictwa Agora, Warszawa 2010,
do której tekst, na podstawie rękopisu i wcześniejszych wydań, opracował
Przemysław Kaniecki, przywracając treści usunięte przez cenzurę

Wydanie I: Iskry, Warszawa 1967

Projekt okładki: Olga Bołdok

Tuż przed oczami widziałem czarne litery leżące wspak. *Nowy kryzys ś...* – przesyłabizowałem z największym trudem. Od dołu wspinała się boża krówka. Przebierała śpiesznie nóżkami brnąc w tłustej czerwieni podtytułu *Marynarka wojenna i lotnictwo St...* Gazeta przesycona była żółtym światłem słonecznym.

Wtedy odezwał się grzmot i szedł gdzieś górą w łaskocie stali i dudnieniu złomów betonu. Czekałem na piorun, ale ucichło z wolna, powrócił wiatr, jaki słyszy się nad rzeką. Szarpnął rozgrzaną gazetą, która zsunęła się wolno z mojej twarzy.

Zobaczyłem przed sobą zrudziały park i bardzo niebieskie niebo. Cienki różaniec dzikich ptaków, albo może liści unoszonych przez wiatr, płynął w tę stronę, skąd szło ciepło i gdzie domyślałem się słońca.

– Witaj, strudzony żniwiarzu.

Siedział na łaciej ławce po drugiej stronie wąskiej uliczki, wybrukowanej polnym kamieniem. Był ani młody, ani stary i kogoś mi ogromnie przypominał w tym rozkrzyżowaniu ramion. Przyglądał się z życzliwą uwagą, obgryzając paznokcie.

Chciałem wstać, ale zaniósło mnie trochę, więc oparłem się rękami na kopcu zgrabionych liści, suchych i martwych. Znowu odezwał się grzmot. Potoczyłem dokoła wzrokiem. Na wysokiej skarpie, u podnóża wielkiej, kamiennej budowli zobaczyłem zielone lufy wiekowych armat, czy raczej omszałe pnie drzew, i rozkraczone, pociemniałe od starości samoloty, albo skamieniałe ptaki. Za mną był cementowy wiadukt, po którym pełznął rozmazany tramwaj. Dwóch Kurpiów w lnianych strojach, lub raczej rybaków, pluło na dół, przechylając się ponad zardzewiałą balustradą.

Kiedy podszedłem do ławki, on usunął się trochę, czyniąc mi miejsce. Siadłem ciężko.

– Wie pan, dziwna rzecz – powiedziałem.

Uśmiechnął się wyrozumiale, nie przestając obgryzać paznokci.

– Jak Boga kocham, nic nie pamiętam.

Dotknąłem potylicy, mokrych, zlepionych włosów.

– Czego pan nie pamięta?

– No właśnie, wszystkiego.

Przysunął się raptownie i ujął moją dłoń.

– Pan się skaleczył?

W tym cieple jego ręki było coś nieprzyzwoitego. Wyszarpnąłem palce, które on ścisnął kurczowo. Zobaczyłem na nich krzepnącą, czarną krew.

– Niech pan pokaże głowę.

– Nie, nie – odsunąłem się gwałtownie.

Uśmiechnął się znowu, a ja zrozumiałem, że lepiej trzymać się od niego z daleka. Poszukałem chusteczki w kieszeniach, ale nic nie znalazłem, więc zerwałem garstkę suchego krwawnika i jąłem wycierać nasadę głowy.

– Kark ma pan utyłany w ziemi.

– Dziwne, nie czuję w ogóle bólu.

– Pan przyjezdny?

– Nie wiem. Widzi pan, ja nic nie wiem. Mam taką pustkę w głowie.

– Gdzie pana okulary?

– Ja nie noszę okularów.

– Jak to, przecież widzę ślady pod oczodołami.

Uśmiechnął się jeszcze raz, a ja spostrzegłem, że to nie uśmiech, lecz raczej jakiś rodzaj tiku, czy kurczu mięśni lewego policzka. Wstał i poszedł w to miejsce, gdzie leżałem. Szurał chwilę w płachtach gazety, a potem wrócił z teczką plastikową i okularami.

– To pańskie?

– Ja nie wiem.

– Niech pan przymierzy – podał mi okulary z jedną szybką spękaną srebrzyście. Nałożyłem je. Wiadukt skoczył do tyłu i powlókł się gęstym deseniem czarnych liszajów. Pomiędzy ciężkimi łukami betonu dostrzegłem spiętrzone dachy domów nowych i starych, a nad nimi pasma rzadkiego dymu.

– Chyba moje. Teraz lepiej widzę – powiedziałem.

On przysunął się konfidencjonalnie. Zobaczyłem nagle tuż przed sobą jego zniszczoną w miarę twarz, ślady wyblakłych piegów, resztki starych blizn i rozszerzone naczynia krwionośne.

– Ja pana obserwuję od dłuższego czasu. Najpierw myślałem, że pan już gotowy, że zaraz po pana przyjadą, bo muchy pana obsiadły aż strach. Roilo się tam nad panem. Niektóre to i pod gazety włożyły. Naprawdę pana głowa nie boli?

Pomacałem się po zlepionych włosach.

– Nie, nie boli.

– Panie, przecież tam dziura, że pięść można wsadzić.

Machinalnie przeczesalem palcami to miejsce, w które on patrzył z natężeniem.

– Uderzyłem się. Pewnie dlatego nic nie pamiętam.

– I ja tak myślę. Taka gazetka, widzi pan, najlepiej popołudniówka, to koldra naszego rodaka. Kiedy go tramwaj przejedzie, litościwi okryją „Expressem”, kiedy od sznapsa osłabnie, grzeje go splechetek gazety. A może pan wypił ciut-ciut za dużo?

– Ja nie wiem.

– Ale pan nudzi. Gdzie ta teczka? O, jest.

Pogrzebał w plastikowym wnętrzu i wydobył trzy fotografie paszportowego formatu. Później usiłował wytrząsnąć coś jeszcze z wyszarzałej teczki, lecz posypały się tylko zeschnięte paprochy chleba albo mchu.

– To pańskie?

Patrzyły na mnie ze zdjęć nijakie oczy zza nijakich okularów.

– Chyba moje.

– Wybiera się pan w dalekie podróże?

Długie pasmo babiego lata uczepiło się mego policzka. Próbowałem je bezskutecznie zdmuchnąć. Z rozdzierającym rżeniem starego żelastwa przewalał się kolejny tramwaj na starym wiadukcie.

– Muszę już iść – wstałem raptownie.

– Ja bym coś miał dla pana.

– Nie, muszę iść.

– Pan zaczeka, uzgodnimy! – wołał rozwalony na ławce w jadowitych kolorach. Zdawało mi się, że znowu drga na jego twarzy ten nienaturalny uśmiech.

– Nie omijaj pan szansy. Ja mam fart! – krzyczał, kiedy wbiegałem już po stromych stopniach, gdzie pachniało uryną, albo zbutwiałymi liśćmi.

Na wiadukcie duł ogromny wiatr. W zawziętym milczeniu pędziły samochody szeroką aleją prowadzącą donikąd. Wielkie tłumy ludzi przepychały się ciasnymi trotuarami. Nieśli teczki, paczki, torby. Kobiety trzymały się kurczowo męskich ramion. Ten ich skrzętny pośpiech zdawał mi się bezsensowny.

Tuż przy chodniku jechał wóz konny. Czysty, schludny czworonóg ciągnął platformę, na której siedział straszliwie brudny i zarośnięty osobnik dwunożny. Pomyślałem nagle, że psy się koszmarnie nudzą. Że nudzą się, być może, bardziej dotkliwie niż ludzie.

Mijałem wielki budynek zwieńczony neonowym wezwaniem: *uśmiech za uśmiech*. Przed nim stała ogromna kolejka ludzi czekających na otwarcie sklepu. Przyglądali się z uwagą grupce rozwrzeszczanych kobiet spierających się o miejsce w ogonku.

Znałem to miasto nie wiadomo skąd. Przypominałem sobie witryny sklepów przyprószone pyłem, załomy ulic, niespodziane placyki z umierającą zielenią i ten dziki, zimny wiatr wiejący ze wszystkich stron naraz.

W kamiennej zatoczce stały wozy milicyjne z niebieskimi lampami na dachach. Milicjanci, jak zmęczeni chłopcy, kurzyli papierosy oparci ciężko o karoserie samochodów. Z zawodową wnikliwością obserwowali mnie, gdy wchodziłem w czarną czeluść korytarza.

Było tu pusto. Okienko informacji przesłaniało matowe szkło, po sfatygowanych stołach ścigały się muchy wokół przepelnionych popielniczek. W kącie bieliła się spluwaczka, nawet schludna w tym otoczeniu, bo przecież nikt nigdy nie pluje do spluwaczki. Na jednym ze stołów leżała lista nazwisk wpisanych piórem, długopisem, albo ołówkiem. Wiele nazwisk było przekreślonych, inne ocalały.

Nacisnąłem klamkę pierwszych drzwi. Były zamknięte. Spróbowałem następnych, również bez skutku. Dopiero trzecie ustąpiły z przykrym jękiem. Niestary mężczyzna siedział przy biurku i czytał jakieś skrypty. Teraz uniósł trochę głowę, tyle, żeby widzieć moje nogi.

– Już nie urzędujemy. Kto pana wpuścił?

– Sam wszedłem.

– Niech pan przyjdzie w poniedziałek.

– Kiedy ja muszę dziś. Bardzo pana proszę.

Podniósł głowę odrobinę wyżej, zaskoczony moim uporem.

– Wszystko już pozamykane. Czy pan nie umie czytać?

– Chyba umiem czytać – powiedziałem nieśmiało.

Odsunął skrypt i zaczął mi się przyglądać podobnie jak milicjanci z kamiennego placyku.

– Pana nazwisko?

– No właśnie.

– Co, właśnie?

– Nie wiem, jak to się stało, ale nie pamiętam.

Szybko spojrzął na aparat telefoniczny i natychmiast zawstydził się swego odruchu. Chrząknął, wstał zapinając marynarkę, podszedł do mnie.

– Składał pan papiery u nas?

– Tak. Chyba tutaj.

– Gdzie pan chciał jechać?

Milczałem mnąc plastikową teczkę w rękach. Przyglądał mi się z jakimś szacunkiem i to mnie onieśmielało.

– Znaczący, do którego kraju? – poprawił się za chwilę.

– Naprawdę nie wiem.

– A może przyszedł pan pożartować? – spytał oględnie urzędnik. – Może to taki zakład koleżeński, drobny kawał przy sobocie po robocie?

I uśmiechnął się ostrożnie, bez gniewu.

– Wie pan, znalazłem się w takiej sytuacji, po prostu idiotycznej, w obcym mieście, nic nie pamiętam, sam nie wiem, co ze sobą zrobić. Pan mi nie wierzy, ale to naprawdę dziwne – mówiłem coraz wolniej i bez przekonania.

– A niech pan wsadzi rękę do lewej wewnętrznej kieszeni, tam wszyscy noszą portfele z dokumentami – rzekł niedbałym tonem urzędnik, ale widziałem, że jest spięty zdenerwowaniem. Mnie na odmianę męczył jakiś rys w jego fizjonomii, jakieś przykre znamię, jakiś ślad potu, który kiedyś zapamiętałem na innej twarzy.

Włożyłem rękę w wycięcie marynarki.

– No i co? – spytał.

– Nic. Pusta kieszeń.

Chwilę milczał patrząc gdzieś nad moim ramieniem.

– Pan ma krew we włosach.

– Gdzieś się uderzyłem, głupstwo. Już dawno zaschło.

Znowu spojrzął na telefon.

– Pomożemy panu. Wszystko się załatwi. Nie ma rzeczy nie do wyjaśnienia – i z jowialnym uśmiechem wrócił do biurka zerkając na telefon.

– Dziękuję, dam sobie radę.

– Proszę czekać. Zadzwonimy po kogoś miłego, kto panu pomoże.

I spojrzął na mnie fałszywie uśmiechnięty, a ja nagle i bez sensu pomyślałem, że ten człowiek, którego nie znam, umrze w najbliższych godzinach.

Zrobiło mi się gorąco, pchnąłem drzwi z całych sił.

Przed gmachem tak jak przedtem ćmili papierosy milicjanci oparci o samochody. Ale teraz byli to inni i przy inaczej ustawionych wozach. Z profesjonalną wnikliwością odprowadzali mnie wzrokiem, gdy wychodziłem na ulicę.

I ja patrzyłem na nich zaskoczony, gdyż zrozumiałem w tej chwili, że owych ludzi wybraliśmy z tłumu i przyodziliśmy w siwe mundury, żeby bronili nas przed nami samymi.

Skwer był resztką parku wielkowiejskiej rezydencji. Z zardzewiałej fontanny ciurkał słabutki strumień wody. Usiadłem na ławce nieopodal dziecinnych huśtawek. Z posępnego bełkotu miasta wynurzył się raptownie histeryczny jęk karetki pogotowia. Przeleciała gdzieś obok, wymijając wizgi hamujących gwałtownie samochodów. Stadko gołębi poderwało się z głuchym łomotem skrzydeł, na żwirze zostało trochę wypłowiałych piór.

Siedziała na sąsiedniej ławce, ze trzy metry ode mnie. Obcasem czerwonego buta rysowała coś w piasku pełnym kasztanowych łupin. Zerkaliśmy na siebie od czasu do czasu.

– Pani z Łowicza? – spytałem wreszcie.

Rozprostowała pasiastą spódnicę, uśmiechnęła się patrząc gdzieś w bok.

– Słaby znawca. To strój opoczyński.

– Na jutrzejsze dożynki pani przyjechała?

– Nie, my się tak ubieramy w biurze – zadrwiła nie bez kokieterii.

Miała szare, mysie włosy i nienaturalnie jasną cerę. Nawet nagie kolana, widoczne pod spódnicą, były prawie białe.

– Radzę nie kpić ze mnie.

– Może pan jest milicjantem? Widziałam, skąd pan wychodził.

– Może jestem milicjantem.

– W okularach?

– A skąd pani wie, że milicjant nie może nosić okularów?

Nie odpowiedziała rysując coś w piasku. Usiadłem na tej samej ławce co ona.

– Jakoś tak idiotycznie rozmawiać na odległość.

Spojrziała oczami wielkimi niczym kasztany.

– Pan rozmowny jak wszyscy z prowincji.

– Myśli pani, że jestem z prowincji?

– Mh.

– A co jeszcze pani o mnie myśli?

– Że przyjechał pan z bardzo daleka do wielkiego miasta i teraz nie wie pan, co ze sobą zrobić.

– To ja pani też coś powiem. My się jeszcze spotkamy, na pewno zobaczymy się tej nocy.

Popatrzyła przeciągle, bez uśmiechu.

– Kiedy pan mi się nie podoba.

– To pierwsze wrażenie. Ja jestem wytrwały i na tym polega moja siła. Pani jeszcze zobaczy.

– Nie wiem, czy pana kiedyś zobaczę.

Wielka grupa Krakowiaków i Kaszubów ciągnęła główną aleją w chrapliwych glissandach harmonii. Wielu z nich miało utyte, blade twarze miejskich gryzipiórków. Dziwiło mnie trochę, że nie wstydzą się tej maskarady.

– Bardzo mi zależy, żeby się jeszcze z panią spotkać – powiedziałem szybko, wyczuwając, że ona zaraz odejdzie.

Rzeczywiście w tym momencie wstała i dopiero teraz spostrzegłem, że trzyma w rękach torebkę z dobrego sklepu, absolutnie niepasującą do jej stroju.

– Naprawdę panu zależy?

– Naprawdę.

Patrzyła leniwie na anemiczną fontannę podbijając torbę przeraźliwie nagim kolanem.

– To może się spotkamy.

– Gdzie? – spytałem skwapliwie.

– Gdziekolwiek – zatoczyła dłonią półkole obejmujące pół miasta oblanego gęstym jak miód światłem słońca przed zachodem.

– Może pod Pałacem?

– Może pod Pałacem – powtórzyła i nie oglądając się pobiegła w tę stronę, gdzie odeszli fałszywi chłopci.

Wstałem i ja z ławki. Dopiero teraz spostrzegłem tego wyszarzałego jegomościa spod wiaduktu. Trzymał za guzik jakiegoś gimnazistę i coś mu gorliwie klarował, potem wtykał pomietą kartkę skonsternowanemu uczniowi. Cały czas przy tym zerkał na mnie, jakby w obawie, że straci mnie z oczu.

Wielki wiatr szedł znowu gdzieś górą szeleszcząc martwymi liśćmi jak papierem. Odezwał się przeciągły, natarczywy głos klaksonu samochodowego i wyglądało na to, że ktoś wzywa ratunku.

– Widzi pan, w tym coś jest – rzekł ten wyszarzały do mnie. Uczeń stał nieopodal czytając ze zdziwieniem kartkę. – Znowu się spotykamy. Załatwił pan tam? – wskazał głową aleję, którą przyszedłem.

– Nic nie załatwiłem. Dziś sobota.

– A ja mam coś dla pana.

– Co?

– Taki mały interes. Nie będzie pan żałował.

– Jaki interes?

– Powiem panu. Tylko wejdźmy gdzieś do bramy.

Pociągnął mnie w nowiutką zabytkową uliczkę. Z barokowych kamieniczek jeszcze nie wszędzie zdjęto rusztowania. Zanurzyliśmy się w chłodny cień sieni pachnącej wapnem.

– Mam na imię Lilek – i podał mi swoją gorącą, miękką dłoń, którą ścisnąłem na moment z przykrością.

– Ja nie pamiętam...

– Wiem, wiem, znam tę mowę – przerwał mi od razu. – To drobiażdżek. Najważniejsze, że jesteś w potrzebie. Nic mnie nie obchodzi, co, gdzie, jak.

Za nim widziałem skrawek podwórza, ujęty owalem bramy. Wokół cementowej stacyjki transformatorowej, wśród zwojów granatowych kabli, szamotały się na wietrze ogromne krzaki nabitych życiem, spasionych pokrzyw. Na daszku tej stacyjki rosła malutka brzoza, taka jak w starych oleodrukach, tylko skarłała.

– No co, Misiu, przybijemy? – spytał Lilek.

– A pan mnie zna?

– Och, ty jesteś... – zachnął się. – Znam życie, to wystarczy.
Dopiero teraz oczy moje przyzwyczyły się do półmroku. Zobaczyłem pod dziurawą ścianą stertę gazet i nogi w znoszonych półbutach.

– Tu ktoś leży.
– A leży – potwierdził Lilek. – Widzisz, taka dzisiaj robota. Jeszcze tynk nie wysechł, a już odpada. Gzyms z balkonu odleciał i trafił w listonosza. Nie słyszałeś pogotowia?

– To duże miasto, ciągle coś się dzieje.
– O, właśnie. Jedziemy, Misiu?
Wyskoczył na ulicę, gdzie przejeżdżała wolna taksówka. Gruby, nieogolony kierowca był bez humoru.

– Trzaskaj se pan jajem, ale nie drzwiami – burknął na Lilka.
– Nie dąsaj się, Misiu, będzie ładny kurs. Skocz w stronę lotniska, tam pokażę, gdzie stanąć.

Zazgrzytała skrzynia biegów i przez moment wyglądało, że nastąpi eksplozja. Potoczyliśmy się jednak w stronę szerokiej alei, którą sunęły setki zdezelowanych samochodów. Wnętrze taksówki wytapetowane było kartonikami z napisami w rodzaju: *nie trzaskać drzwiami, nie palić, nie zanieczyszczać wozu*. Na desce rozdzielczej połyskiwał niemrawo wielki, cynowy medalion ze świętym Krzysztofem, patronem podróżników.

– Ech że wy w kichę dmuchani – zachrypiał naraz gruby kierowca.
Pan Lilek pochylił się nad przednim siedzeniem.

– Co się stało?
– Dręczą ten biedny naród.
– Kto?
– Ja nie wiem kto! – ryknął starganym głosem taksówkarz. Pan Lilek cofnął się, trochę stropiony.

– Mówię tylko – ciągnął odrobinę spokojniej szofer – że znowu kołują, napinają, szkalują...
– Eskalują – poprawił Lilek.
– Eszkalują, a naród się męczy. W sklepach towaru zabrakło już po obiedzie. Chwilę milczał wymijając jakąś ciężarówkę z roztańczoną przyczepą.
– Każdy się boi wojny, no nie?
– Eee, Misiu, tyle razy już wyglądało niedobrze i jakoś rozeszło się po kościach. Kierowca odwrócił się, otaksował wzrokiem Lilka.
– „Expresiaka” pan czytałeś?
– Jeszcze nie.
– No to poczytaj pan. Wszystkie wojny zaczynały się jesienią. Widzi pan, jaki wiatr. Może gdzieś tam już spuścili baleron z atomem.

W tym momencie zahamował raptownie i usłyszeliśmy niegłośnie uderzenie w podwozie.

– Co się stało?
– A gołąb, w kichę dmuchany. To durne zwierzę, zawsze niby w porę odskoczy, a czasem zamysł się, cholera, i masz...
Lilek odwrócił się gwałtownie w stronę tylnej szyby.
– Żyje – powiedział cicho. – O, poderwał się do lotu.
– Nawet ptaki są mocniejsze od nas – powiedziałem nagle bez sensu.
– Co mruczysz, Misiu?
– Nic, mówię, że jesteśmy strasznie krusi. Wystarczy, że się zagapisz, uderzysz głową w latarnię i to już dosyć.
– Co ty, z księżycą spadłeś, że takie złote myśli zasuwasz?

– Nie wiem, jakoś tak dziwnie się czuję, jeszcze nigdy coś podobnego mnie nie spotkało.

– Skąd wiesz, jeśli nic nie pamiętasz.

– Wiem. To dobrze wiem.

– Co wiesz?

– Nie, nie umiem powiedzieć. To tak jakbym o tym kiedyś czytał, czy rozmawiał, a teraz sam przeżywał.

Taksówka zatrzymała się koło ogródków działkowych pełnych malw i szerniałych słoneczników.

– To dokąd jedziemy? – spytał kierowca.

– Starczy, Misiu. W sam raz. Ile stuknęło?

– Siedemnaście trzydzieści.

Lilek podał dwudziestozłotowy banknot z marginesem wypełnionym rozmazanymi cyframi wypisanymi kopiającym ołówkiem.

– Szczęść Boże – rzekł szofer.

– A drobne? – Lilek nie wychodził z samochodu.

Kierowca odliczył bilonem dwa siedemdziesiąt i syknął na tylne siedzenie. Kiedy Lilek wysiadł, szofer strzelił tak drzwiami, że aż spod błotników buchnął gęsty kurz.

– Nie kochają w tym kraju oszczędnych – westchnął Lilek. – Ale też pamiętaj, Misiu, że skąpych u nas nikt nie podejrzewa. To już blisko, parę kroków.

Gdzieś za tymi działkami huczały na najwyższych obrotach silniki samolotowe. Ogromny odrzutowiec, w krwawym świetle przedwieczornego słońca, jak w gęstych płomieniach, schodził do lądowania. Z ogródków sączyła się na tę brukowaną drogę ciężka woń rozkopanej ziemi pełnej glist, woń gnijących jabłek i motków babiego lata uczepionych martwych gałęzi.

Stanęliśmy koło płotu z drucianej siatki, płotu bez końca. Za ogrodzeniem widać było ceglane zabudowania, jakieś przyrządy gimnastyczne ze szerniałego drzewa.

– Masz stówę? – spytał Lilek.

– Nie. Nie mam ani grosza.

– Nie szkodzi. Założę. Poczekaj chwilę.

Ruszył wzdłuż płotu tonącego w zachłannym zielsku. Odszedł spory kawał drogi i tam uczepił się siatki. Stado gawronów zerwało się z kartofliska, krążyło pod przeźroczystym niebem wrzeszcząc przeraźliwie.

To jest możliwe. Zupełnie prawdopodobne. Układa się w konsekwentny ciąg okoliczności i skutków. Chyba nawet do mnie podobne. Nie stanowi również wyjątku. Najzupełniej prawdopodobne, że jestem takim typowym sierotą, od dziecka chowanym u ciotek zameżnych za podoficerami prowincjonalnych garnizonów, u litościwych wujków z małych miasteczek, u babuń prowadzących chłopskie szynki na rozstajnych drogach. Ubrany w jakieś lachy po dzieciach, które już urosły, albo dawno zmarły, obwiązany starą chustą niewiadomej proveniencji pasę krowy na przydrożnej łące. Ludzie współczują mizernej sierocie. Przechodnie zagadują przyjaźnie. Ktoś da jabłko, inny garść strączków grochowych. Pytają o to i owo, a potem dziwią się, jakie to zmyślne dziecko, co za roztropność. I kiwają głowami, że tak już musi być. Matka natura wie, co robi, jeśli wyposaża szczerzej upośledzonych.

Potem się już coraz częściej mówi w miasteczku o tym pastuszk. Rodzice stawiają go za przykład swoim gnuśnym dzieciom. A bezdzietni ubolewają nad marnującymi się przy krowach zdolnościami. Wreszcie legenda o sierocie trafia do uszu proboszcza tutejszej parafii. Pleban chce sprawdzić, ile to jest prawdy w tym ludzkim gadaniu. Więc przywołuje do swego domu opuszczone dziecko. I także popada w zadumę widząc ciekawość pastuszka do księżych woluminów na wielkich półkach, słysząc rozumne odpowiedzi na pytania.

W ten sposób staję się bywalcem na plebanii. Ksiądz dla zabawy poczyna mnie uczyć, by po jakimś czasie wymusić na opiekunach wysłanie pastuszka do szkoły. Zaczynam pomagać staremu zakrystianowi, przyjmują mnie do kółka ministrantów, elity chłopięcej naszego miasteczka. Powoli staję się totumfackim proboszcza, niezastąpionym pomocnikiem, kimś w rodzaju małoletniego wikarego. Ksiądz, zadowolony z moich postępów, daje mi czasem pięćdziesiąt groszy na cukierki, albo sinalko. Przywykam już do swego uprzywilejowania i szczególnej pozycji plebańskiego faworyta. A kiedy przyjeżdża kino objazdowe z filmami Harolda Lloyda, kradnę po cichu srebrną dwuzłotówkę, aby kompanię kolegów, którym zawsze zazdrościłem, móc poprosić na ten seans oszalamiający i zapamiętany na całe życie. Kradzież się wydaje, ksiądz odbywa długą rozmowę wyjaśniającą mi moje położenie i moją sytuację społeczną, ja płaczę rzewnie, co mi zawsze lekko przychodzi, obiecuję poprawę i wzorowe zachowanie. Ksiądz przebacza, wszystko wraca do dawnego porządku. Kończę już szkołę powszechną, wiele czytam, z ogromną rutyną czynię posługi w świątyni. Wkrótce, zapomniawszy o wszystkim, popadam znowu w jeszcze gorsze rozwyrwienie kościelnego rutyniarza. Jakby pragnąc uzwyczaźnić swój status księżego jałmużnika, coraz częściej przedrzeźniam i wyśmiewam dobrodzieja. Z czasem znajduję nawet upodobanie, aby czynić to podczas nabożeństw. I właśnie w Wielką Sobotę, przed uroczystym poświęceniem ognia, jałem bawić się za plecami księdza triangulem, czyli potrójną świecą, którą udawałem widły. Zamachnąłem się nimi raz i drugi na zadek księdza wkładającego albę. Nie wiem, jak to się stało, lecz raptem proboszcz odwrócił się, złapał mnie za kark, wywlókł na schody i kopnął w to samo miejsce, co do którego ja czyniłem przed chwilą zamachy. Wydawało się, że to już koniec sentymentalnej historii szczęśliwego pastuszka. Znalazłem się z powrotem na dnie, z którego mnie kiedyś wydobyto. Znalazłem się tam ośmieszony, odarty z legendy, zupełnie przegrany.

Szczęściem jesienią wybucha wojna. Wojny przynoszą zawsze równość. Równość wszystkich wobec nieszczęść i nędzy. Stałem się więc równy swoim kolegom, którym dawniej musiałem schlebiać i wkupywać się za wysoką cenę w ich towarzystwo. Dzięki wojnie mogłem rozpocząć naukę na tajnych kompletach gimnazjalnych. Dzięki rozluźnieniu dyscypliny, które przynosi wojna, zdołałem w ciągu tych pięciu lat dobrnąć do matury. Skorzystałem z ogólnych uniesień patriotycznych okupowanego społeczeństwa, spożytkowałem je jak nikt inny. Jedyłą ceną, a nawet nie wiem, czy to można nazwać ceną, którą płaciłem, było przyjęcie i pielęgnowanie patriotyczno-religijnego światopoglądu moich wychowawców.

W wolność wkraczam z ukończonym gimnazjum. Szybko spostrzegam, że moje pochodzenie i rodowód w nowym systemie są nieocenionym szlachectwem, czymś w rodzaju dziedzicznego tytułu arystokratycznego. Zapisuję się więc na historię sztuki uniwersytetu stołecznego, a po paru miesiącach znajduję już pracę w piśmie na poły studenckim, na poły literackim, redagowanym przez wiecznego studenta o lewicowych poglądach. Wtedy właśnie, nosząc cudze teksty do drukarni i korygując na korektach błędy w cudzych nazwiskach, odczuwam pierwsze nieśmiałe pragnienie zapisania i siebie w pamięci rówieśnych. Drżąc z emocji, wydrapuję szydłem zecerskim, kiedy nikt nie widzi, swoje inicjały na kliszy przygotowanej do druku w naszym czasopiśmie. Potem z bijącym sercem odbieram z maszyny próbne egzemplarze, spoconymi palcami przewracam strony szukając swoich liter, śladu istnienia w fascynującym świecie ludzkiej wyobraźni.

Próbuję pisać wiersze podobne tym, które czytuję w naszym tygodniku. Opatrując je wymyślonym nazwiskiem, nie, nie wymyślonym, nazwiskiem, które pragnąłbym nosić, nazwiskiem, o którym marzę od dziecka, a więc te wiersze z tym

właśnie nazwiskiem wysyłam do wielkiego pisma i czekam tygodnie na wynik. Otrzymuję wreszcie liścik chłodny i zdawkowy.

Mój redaktor, stary wieczny student o poglądach lewicowych, spostrzega moją skrytą pisaninę. Zachęca więc, żebym mu pokazał, obiecuje, że ułatwi debiut. Więc jednej nocy siadam nad podaniowym papierem i piszę do rana. Piszę szyderczo o tych ludziach, którzy mnie uczyli podczas wojny, o tych sąsiadach, co litowali się zawsze nade mną, o księdzu, który kopnął mnie w tyłek. Gryzmołę to w natchnieniu, spod serca, w odruchu szczerości. Ale gdzieś tam we mnie kołacze świadomość, którą staram się w sobie stłumić, że to spodoba się wiecznemu studentowi o lewicowych poglądach.

Wspomnienia moje drukują na pierwszej stronie. Zaznaję słodczy losu wybrańca, jednostki namaszczonej przez bogów. I wiem teraz, że bez tego nektaru nie ma już dla mnie życia.

Tymczasem pismo nasze zostaje połączone z innym tygodnikiem studenckim, jeszcze bardziej lewicowym. Wieczny student, mój redaktor, składa dymisję. Ja również przyrzekam odrzucić ofiarowane stanowisko w połączonych czasopismach. Wieczny student o poglądach umiarkowanie lewicowych odchodzi, ja zostaję jeszcze na jakiś czas, celem uporządkowania pewnych zbalaganionych spraw. Moja praca w nowym piśmie trochę się przedłuża bez niczyjej winy. W tym też czasie spotykam wiecznego studenta na ulicy. Nie odkłoniwszy się, przechodzi na drugą stronę. Może mnie nie dostrzegł, może się zagapił, a może po prostu chciał wejść do najbliższego sklepu. Odczuwam to jednak jako obelgę, jako dowód nieufności. Tego samego dnia przyjmuję na stałe pracę w nowym piśmie.

Moje pierwsze triumfy literackie idą jednak szybko w zapomnienie. Kibice obskakują już kogoś zupełnie innego. Ale ja nie poddaję się, nocami piszę trylogię, wielką powieść-rzekę, w której zawieram wszystko, co wiem, o świecie, życiu, ludziach. Powoli nawet przyzwyczajam się do tej nowej roli, którą mi narzuca otoczenie, roli niespełnionego talentu, zmarnowanego artysty. Poprawiając cudze maszynopisy, robiąc korektę opowiadań kolegów, przyglądam się z daleka, jak rówieśnicy kolejno świętują życiowe sukcesy. Po kilku latach ukazuje się wreszcie moja trylogia.

Jestem uczestnikiem cudu. Nie, nie uczestnikiem, przedmiotem. W jednej chwili staję się najpopularniejszą postacią. Na czarnym rynku za moją książkę płacą trzysta złotych. Powiedzonka z trylogii dostają się do potocznej mowy, tytuły w popołudniówkach wspierają się moimi sentencjami. Kobiety omdlewają w moim towarzystwie, mężczyźni podlizują się bezwstydnie. Występuję wreszcie do odpowiednich władz o przydzielenie mi zastrzeżonego numeru telefonu.

I wtedy po raz pierwszy spijam się którejs nocy w jakimś artystycznym klubie. Spijam się lekko, przyjemnie, z takim miłym roztargnieniem człowieka wziętego, człowieka obserwowanego przez setki oczu. W dobrym rauszu sam zaczynam się sobie przyglądać z pewnym dystansem. I co tu gadać, mnie również ciężko jest się oprzeć własnemu czarowi. Każdy mój gest ma tyle wdzięku, każda mina albo grymas zawierają tyle tego szelmowskiego szarmu człowieka z bożej łaski, nonszalanta, któremu to wszystko łatwo przychodzi i który chętnie to za chwilę straci. Gdzieś nad ranem wyłazi z kąta taka pokraka życiowa bez fartu, nygus z zaplamionym rosołem rękopisem poematu, co go nikt nie chce drukować, biedaczyna pragnąca się ogrzać w cieple cudzego powodzenia. Marzy mu się, żeby wypić ze mną na ty. Nudzi schlebiając, drażni wielbiąc, rozwściecza kochając. Więc nagle kopię go w zadek, a on leci do tyłu między stoliki z pięknymi paniami. Tam mu dokładają po pysku i wloką do szatni. Jeszcze większy rój kibiców gromadzi się koło mnie, a ja, impertynencki,

kąśliwy, toczę dalej ten wielki pojedynek z losem. Skądś wraca mój nygus z rozbitym nochalem. Smarka krwią i kocha mnie jeszcze mocniej.

Później w domu przyglądam się długo swojej twarzy oraz dłoniom, chcąc pojąć mechanikę geniuszu. Lawinę zaszczytów, faworów i awantaży odrzucam w tych czasach jak makulaturę, z drobin ludzkiego uwielbienia otrząsam się jak z łupieżu. Ale lubię zachodzić do knajpek, gdzie mnie znają. Zjawiam się tam co wieczoru, aby zainkasować należne mi tantiemy podziwu.

Rozpoczynam pisanie tetralogii, która powinna przynieść Nobla. Piszę ją rozważnie, ze świadomością warsztatu literackiego, z całą wiedzą o fotogeniczności albo nefotogeniczności słowa lub sposobu. Idzie mi jakoś ciężko, co jest doskonałą wróżbą. Tymczasem w prasie, co prawda tej gorszej, prowincjonalnej, pojawiają się pierwsze grymasy w stosunku do mojej trylogii. Jacyś pisarze próbują nawet ukąsić zawołanym paszkwilem. I nic się nie dzieje. Ani ich piorun nie razi, ani organizacje społeczne nie występują z protestem, ani moi przyjaciele na nich nie urągają. Wieczorami w knajpkach już przy mnie puściej. Tylko alkoholicy dotrzymują mi jeszcze towarzystwa licząc na fundę.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI